**Zbrodnia i kara. Rozmowa Rodiona Raskolnikowa i Soni Marmieładow**

Fiodor Dostojewski

— Zgadłaś? — wyszeptał. — Boże! — jęknęła z głębi piersi. Bezwładnie upadła na łóżko, twarzą na poduszki. Ale po chwili, szybko się podniosła, szybko przysunęła się do niego, porwała go za obie ręce i ściskając je silnie jak w kleszczach, swemi cienkiemi palcami, jęła znów nieruchomie, niby przylepiona, wpatrywać się w twarz jego. Tym ostatnim rozpaczliwym wzrokiem chciała wypatrzeć i pochwycić jaką ostatnią iskierkę nadziei dla siebie. Ale nadziei nie było: niema o czem wątpić: wszystko było tak!

— Dosyć, dosyć Soniu! Nie dręcz mnie! — poprosił z boleścią. Wcale, wcale inaczej zamierzał jej to wyznać, ale wyszło tak. Jakby nie pomnąc siebie, zerwała się i załamując ręce doszła do środka pokoju; ale szybko wróciła i usiadła znowu przy nim, prawie dotykając się ramieniem do ramienia. Nagle, niby ukłuta, drgnęła, krzyknęła i upadła przed nim, sama nie wiedząc po co, na kolana.

— Cóżeś pan, cóżeś pan uczynił! — wymówiła z rozpaczą, i zerwawszy się z kolan, rzuciła mu się na szyję, objęła go i silnie uścisnęła go rękoma. Raskolnikow odsunął się i ze smutnym uśmiechem popatrzył na nią: — Dziwna jesteś, Soniu — ściskasz i całujesz, kiedym ci o tem powiedział. Straciłaś zmysły. — Nie, niema nieszczęśliwszego od ciebie na całym świecie! — zawołała, prawie nieprzytomna, nie słysząc jego uwag i nagle zadała się konwulsyjnym płaczem.

Nie wiedziała jeszcze nic, ani po co, ani jak, ani dlaczego to było zrobione. Teraz wszystkie te pytania odrazu stanęły jej w myśli. I znowu nie uwierzyła: „On, on morderca! Ależ, czy to możliwe?“ — Lecz cóż to! Gdzież jestem! — wymówiła z głębokiem oszołomieniem, jakby jeszcze nieprzytomnie — lecz jak to, pan, pan taki... mógłbyś się zdecydować na... na...

— Tak, na rabunek. Przestań, Soniu! — z pewnem zmęczeniem i jakby ze złością odparł Raskolnikow. Sonia stała jak wryta, ale nagle znów zawołała: — Byłeś głodny! Chciałeś matce dopomóc? Prawda? — Nie, Soniu, nie — szeptał, odwróciwszy się i opuściwszy głowę — ja nie byłem głodny... chciałem istotnie dopomóc matce, ale... i to nie zupełnie... nie męcz mnie, Soniu. Sonia klasnęła w ręce. — A!... czyż to, czyż to podobieństwo! Boże! Boże! Któż temu uwierzy?... I jakże to pogodzić? Sam pan wszystko, co masz oddajesz, a zabiłeś dla rabunku! Ah!... — jęknęła nagle — te pieniądze coś pan dał mojej macosze... te pieniądze... Boże, czyż i te pieniądze... — Nie, Soniu — przerwał skwapliwie — uspokój się, to były inne pieniądze! Te pieniądze to mi matka przysłała przez pewnego kupca i dostałem je w chorobie, tego samego dnia, kiedy je oddałem... A tamte pieniądze... nie wiem zresztą czy były tam jakie pieniądze... — dodał z cicha i jakby z namysłem — zdjąłem wprawdzie woreczek z szyi, zamszowy, pełny, dobrze nawet wypchany... ale do środka nie zaglądałem; nie zdążyłem widocznie... No a rzeczy, same jakieś tam łańcuszki, spinki, wszystkie te rzeczy i woreczek schowałem zaraz na drugi dzień na cudzem podwórzu pod kamień, na W-skim prospekcie... Wszystko to leży tam do tego czasu. Sonia słuchała z całych sił.

— No więc dlaczegóż, mówiłeś pan przecie, że to dla rabunku, a sameś pan nic nie wziął? — zapytała jednym tchem, chwytając się słomki. — Nie wiem... jeszcze nie postanowiłem, czy wezmę czy nie wezmę tych pieniędzy — wymówił znowu, jakby się namyślając — nagle ocknąwszy się, szybko i krótko uśmiechnął się. — A tom głupstwo palnął przed chwilą, co? Po główce Soni przebiegła myśl, czy nie zwarjował.

— Wiesz, Soniu — rzekł nagle jakby w natchnieniu — wiesz co ci powiem: gdybym był zamordował tylko z głodu — ciągnął dalej, akcentując dobitnie i znacząco każde słowo, lecz szczerze wpatrując się w nią — to byłbym teraz... szczęśliwy! Wiedz o tem! Wszak ty nic z tego nie zrozumiesz i tylko umęczysz się... przeze mnie! Właśnie też zaczynasz płakać i znowu mnie ściskasz, no, a za co mnie ściskasz? I czyż możesz kochać takiego potwora?

— A ty, czyż się nie męczysz? — zawołała Sonia. Znowu to samo uczucie falą wpłynęło do jego duszy i znowu na chwilę zmiękczyło ją.

— Soniu! ja mam złe serce, pamiętaj o tem: tem się dużo daje wytłumaczyć, dlatego przyszedłem, że jestem zły. Są tacy, którzy by nie przyszli. A ja jestem tchórz i... podły! Lecz... A niech tam! Wszystko to nie to... Mówić teraz trzeba, a ja zacząć nie umiem... Urwał i zamyślił się.

- Otóż chciałem zrobić się Napoleonem, dlatego zabiłem... No, rozumiesz teraz?

— N...nie — naiwnie i nieśmiało szepnęła Zosia — tylko... mów, mów. Ja zrozumiem, ja po swojemu wszystko zrozumiem — prosiła go usilnie.

— Zrozumiesz? No dobrze, zobaczymy! Zamilkł i długo się zastanawiał. — Uważasz tedy: zadałem sobie pewnego razu pytanie: coby to było, gdyby na mojem miejscu znalazł się Napoleon i gdyby nie miał dla rozpoczęcia karjery ani Tulonu, ani Egiptu, ani przejścia przez Mont-Blanc, lecz zamiast tych wszystkich pięknych pomników i rzeczy, poprostu jakaś pocieszna staruszka, registratorowa, którą jeszcze w dodatku trzeba zabić, ażeby z jej kufra wydostać pieniądze (dla zrobienia karjery, rozumiesz?), no więc czyby się zdecydował na to, gdyby nie miał innego punktu wyjścia? Czy nie cofnąłby się dlatego, że już nieco zanadto niemonumentalnie i... i nieuczciwie? Powiadam ci tedy, że to „pytanie“ męczyło mię niezmiernie długo, tak, że ażem się okropnie zawstydził, domyśliwszy się nareszcie (jakoś tak nagle), że nie tylko nie cofnąłby się, ale nawet nie przyszłoby mu do głowy, że to nie jest czyn pomnikowy... i nawet nie pojmowałby, dlaczego miałby się cofać? I już gdyby tylko nie miał innego wyjścia, to zadusiłby tak, że aniby nie pisnęła, bez żadnego namysłu! Otóż i ja... bez namysłu... zadusiłem... wzorem autorytetu. I to było ściśle tak jak mówię! Czy ciebie to śmieszy? Tak, Soniu, może najśmieszniejszem jest tu to, że właśnie tak było... Soni wcale było nie do śmiechu.

— Widzisz: wszak wiesz o tem, że moja matka nie ma prawie żadnych funduszów. Siostra otrzymała edukację wypadkowo i skazana jest na włóczenie się po guwernerce. Wszystkie ich nadzieje polegały we mnie. Uczyłem się, ale utrzymać się na uniwersytecie nie mogłem i na jakiś czas zmuszony byłem go opuścić. Gdyby to nawet miało trwać długo, to za jakie lat dziesięć, dwanaście (przy szczęściu) mógłbym pomimo to objąć posadę jakiego nauczyciela lub urzędnika z pensją tysiąca rubli... A do tego czasu matka wyschłaby ze zmartwienia i kłopotów i nie byłbym w stanie utulić jej: a siostra... no, z siostrą mogłoby się stać jeszcze gorzej!.. Otóż to. Otóż postanowiłem, zagarnąwszy pieniądze lichwiarki, zużytkować je na swoje pierwsze lata, nie męcząc matki, na zabezpieczenie siebie w uniwersytecie, na pierwsze kroki po wyjściu z uniwersytetu, i wszystko to zrobić na wielką skalę, radykalnie, tak ażeby już wcale nową stworzyć sobie karjerę i stanąć na drodze nowej, niezależnej... No. Otóż i wszystko. Oczywiście, zabiłem lichwiarkę, źlem zrobił. No i dosyć!

W jakiejś niemocy dowlókł się do końca opowiadania i spuścił głowę.

— Och, to nie to, nie to — z boleścią wołała Sonia — i czyż tak można... nie, to źle, źle!

— Sama widzisz, że źle! A jednak opowiedziałem ci szczerą prawdę! — Ale jakaż to prawda! Boże! — Wszak ja tylko zabiłem wesz, Soniu. Bezużyteczną złą szkodliwą. — A czy człowiek to wesz? — Toć wiem, że nie — odparł, dziwnie patrząc na nią. — A zresztą, kłamię, Soniu — dodał — od dawna już kłamię... Wszystko to nie to, słusznie mówisz. Soniu, tu są wcale wcale inne przyczyny!... Dawno już z nikim nie rozmawiałem, Soniu... Głowa mnie teraz bardzo boli.

Oczy pałały mu gorączkowym ogniem. Zaczynał prawie bredzić; niespokojny uśmiech krążył na jego wargach. Przez pobudzony stan duszy przeglądała już straszna niemoc. Sonia pojęła, jak on się męczy. I w jej głowie zaczęło się mącić. Bo on tak dziwnie jakoś mówił: niby coś się rozumie, a jednak... „ale jakże! Jakże! O Boże!“ I załamywała ręce w rozpaczy.

— Nie, Soniu, to nie to! — zaczął znowu, podnosząc nagle głowę, jakgdyby niespodziany zwrot myśli uderzył i pobudził go znowu — to nie to! Lepiej pomyśl (tak, to istotnie lepiej!) pomyśl, że jestem samolubem, zazdrosnym, złym, podłym, mściwym, no i jeszcze dajmy na to skłonnym do warjacji. (Niech będzie wszystko od razu! A o warjacji mówiono nieraz, zauważyłem to!). Otóż powiedziałem ci poprzednio, że nie mogłem się utrzymać na uniwersytecie. A wiesz ty - może i mogłem? Matka przysłałaby, żeby wnieść co potrzeba, a na buty, ubranie i chleb sambym zapracował; z pewnością! Lekcje się skończyły: dawano po pół rubla. Wszak Razumichin pracuje!

Alem ja się rozgniewał i nie chciałem. Tak, rozgniewałem się, dobrze mówię! Wtedy jak pająk zakopałem się w swojej norze. Wszak byłaś u mnie, widziałaś.. A czy wiesz Soniu, że niskie sufity i ciasne pokoje tłumią blaski duszy i rozumu! O jakżem znienawidził tę norę! A jednak, wychodzić z niej nie chciałem. Umyślnie nie chciałem. Przez całe doby nie wychodziłem i nie chciałem pracować, i nawet jeść nie chciałem, leżałem ciągle. Przyniesie Nastka, to i zjem, nie przyniesie, to i cały dzień tak przejdzie; umyślnie ze złości nie prosiłem o nic! W nocy nie ma ognia, leżę po ciemku, a na światło nie chcę zapracować. Trzeba się było uczyć, sprzedałem książki, a na moim stole, na notatkach i kajetach, dotąd na palec kurzu można znaleźć. Najlepiej lubiłem leżeć i myśleć! I ciąglem myślał... I ciągle miewałem takie dziwne sny, różne, nie ma co nawet powtarzać, jakie! Ale dopiero wtedy zaczęło mi się roić, że...

Nie, to nie tak! Znowu źle opowiadam. Widzisz: zapytałem siebie wówczas nieustannie; dlaczego jestem tak głupi, że jeśli inni są głupi i skoro ja wiem na pewno, że są głupi, czemu ja nie chcę być mądrzejszym? Potem doszedłem do przekonania, Soniu, że gdyby czekać, zanim wszyscy zmądrzeją, to byłoby zanadto długo... Potem poznałem, że ludzie się nie zmienią i że nikt ich nie przerobi, nie warto nawet sobie trudu zadawać! Tak, to fakt! To ich prawo... Prawo. Soniu! Tak i teraz wiem, Soniu, że kto ma siłę i energję ducha i rozumu, ten panuje nad nami! Kto ma dużo śmiałości, ten ma u nich słuszność. Kto na większość umie splunąć, ten jest u nich prawodawcą, a kto najwięcej może się ośmielić, ten jest z nich najsprawiedliwszy! Tak było dotąd, tak będzie zawsze! Ślepy chyba tego nie dojrzy!

Raskolnikow, mówiąc to, choć i patrzył na Sonię, lecz nie dbał już oto, czy ona zrozumie, czy nie. Gorączka opanowała go w zupełności. Był w jakiemś natchnieniu. (Istotnie, za długo już z nikim nie rozmawiał!). Sonia zrozumiała, że ten ponury katechizm stał się jego wiarą i prawem.

— Domyśliłem się wtedy, Soniu — ciągnął w natchnieniu — że władza daną jest tylko temu, kto się ośmieli sięgnąć po nią odważnie. Jednej rzeczy potrzeba tylko: śmiałości! Wtedy wymyśliłem sobie jednę taką myśl, jakiej dotąd nikt nigdy nie wymyślił! Nikt! Przedstawiało mi się nagle jasnem jak słońce, że skoro nikt dotąd nie ośmielił się i nie śmie, mijając te wszystkie okropności, wziąć poprostu za ogon i zmiażdżyć, do djabła, więc ja... muszę się ośmielić i... i zabiłem, ośmieliłem się, Soniu, nic więcej.

— O, przestań pan, przestań! — zawołała Sonia, załamując ręce. — Zerwałeś z Bogiem i Bóg cię ukarał, djabeł cię opętał!...

— W istocie, Soniu, kiedym tak leżał w ciemności, ciągle mi się zdawało, że to mnie tak djabeł kusił.

— Przestań pan! Nie drwij sobie, bluźnierco, ty nic nie rozumiesz! O mój Boże! on nic nie rozumie!

— Nie, Soniu, ja bynajmniej nie drwię, i wiem aż nadto dobrze, że mnie djabeł kusił. O tak, tak, Soniu! — powtórzył stanowczo i ponuro. — Wiem wszystko. Wszystko to już przetrawiłem myślą i przeszeptałem sobie, leżąc po ciemku... Wszystko to sam z sobą przewertowałem do ostatniej linji i wiem wszystko, wszystko! I tak mnie zmęczyła, tak mnie zmęczyła cała ta paplanina! I czy ty sądzisz doprawdy, że jak dureń poszedłem na oślep. Mylisz się, poszedłem z rozwagą i to mnie właśnie zgubiło! I czy myślisz, żem nie wiedział, na przykład, choćby tego, że jeżeli się już tak dopytuję, tak badam; czy mam prawo do posiadania władzy? to tem samem nie mam prawa do władzy. Lub też jeżeli zadaje sobie pytanie: czy człowiek jest wszą? to tem samem nie jest on wszą dla mnie, lecz dla tego, komu to nawet namyśl nie przyjdzie i kto idzie prosto bez pytań... Skorom się już tyle dni przemęczył nad kwestją, czy to samo zrobiłby Napoleon, czy nie? to przecie wyraźnie czułem, że nie jestem Napoleonem... Całą, całą męczarnię tego nicowania własnych myśli wytrzymałem, Soniu, i zapragnąłem zwalić ją z bark swoich: zapragnąłem, Soniu, zabić bez rezonowania, zabić dla siebie samego! Nie chciałem się tego zapierać, nawet przed sobą samym! Nie dlatego zabiłem, ażeby matce dopomóc, gdzie zaś! Nie dlatego zabiłem, ażeby po otrzymaniu pieniędzy i władzy stać się dobroczyńcą ludzkości. Bynajmniej! Zabiłem po prostu dla siebie, dla siebie samego; a czybym się stał dobroczyńcą czyim, czy też przez całe życie miałbym chwytać jak pająk wszystkich w pajęczynę i wysysać z wszystkich żywe soki, to mi musiało być w danej chwili zupełnie obojętnem!... I co największe, że nie pieniądze były mi potrzebne. Soniu, w chwili kiedym zabijał; nie tyle pieniądze, ile coś innego... Wiem teraz wszystko... Zrozum mnie: może idąc tą drogą, już bym nigdy nie powtórzył zbrodni. Pragnąłem dowiedzieć się dowiedzieć i dowiedzieć się jak najprędzej, czy jestem wszą jak wszyscy, czy też człowiekiem? Czy będę mógł przestąpić czy też nie? Czy zdołam schylić się i wziąć czy nie? Czy jestem drżącem bydlęciem, czy też mam prawo.

— Mordować? Czy masz prawo mordować? — Klasnęła w ręce Sonia.

— E...ech, Soniu! — zawołał z rozdrażnieniem, chciał jej coś odpowiedzieć, lecz urwał z pogardą. — Nie przerywaj mi, Soniu! Chciałem ci tylko dowieść jednej rzeczy: że djabeł mnie popchnął wtedy, i dopiero potem dał mi poznać, że nie miałem prawa tam chodzić, jestem akurat taką samą wszą, jak i wszyscy! Zadrwił sobie ze mnie, otóż i przybyłem teraz do ciebie! Przyjmij gościa! Gdybym nie był wszą, to czyż przyszedłbym do ciebie? Słuchaj: kiedym szedł wtedy do starej, szedłem tylko spróbować... Wiedz o tem!

— I zabiłeś! Zabiłeś!

— Czyż ja zabiłem? Czyż tak zabijają? Czyż tak idą zabijać, jak ja wtedy szedłem! Ja ci kiedykolwiek opowiem, jak ja szedłem... Czyż ja zabiłem, starą? Siebie zabiłem, nie starą! Za jednym zamachem zmiażdżyłem siebie na wieki! A staruszkę djabeł zabił, nie ja... Dosyć, dosyć, Soniu, dosyć! Daj mi spokój — zawołał nareszcie w konwulsyjnem zniecierpliwieniu — daj mi spokój!

Wsparł łokcie o kolana i jak w kleszczach ścisnął sobie czoło rękoma.

— Jakże on cierpi! — jęknęła Sonia z rozpaczą.

— No i co począć, mów! — zapytał, nagle podnosząc głowę i strasznie zmienionym wzrokiem patrząc na nią. — Co począć! — zawołał, zrywając się nagle z miejsca, a oczy jej, dotąd pełne łez, błysnęły nagle.

— Wstań. Porwała go za ramię; podniósł się, patrząc na nią prawie ze zdumieniem. — Idź zaraz, natychmiast, stań na rozdrożu, pokłoń się: pocałuj najprzód ziemię, którąś splugawił, a potem pokłoń się całemu światu, na wszystkie cztery strony i powiedz wszystkim głośno: „jestem mordercą!“ Wtedy Bóg natchnie cię nowem życiem. Pójdziesz? Pójdziesz? — pytała go, cała drżąca, jak w febrze, porwawszy go za obie ręce, ściskając je silnie w swoich dłoniach i patrząc nań płomiennym wzrokiem. Zdumiony był i nawet uderzony jej niespodzianym zapałem.

— Czy masz na myśli katorgę, Soniu? Miałżebym sam siebie zadenuncjować? — zapytał. — Powinieneś cierpieć i w cierpieniu znaleźć odkupienie.

— Nie! Ja do nich nie pójdę, Soniu!

— A żyć, jakże żyć będziesz? Z czem żyć będziesz? — wołała Sonia. — Czy takie życie możliwe? Jakże będziesz teraz mówił z matką? (O, z niemi, z niemi co teraz będzie!). Ale co mówię! Wszak porzuciłeś już matkę i siostrę! Porzuciłeś je, porzuciłeś. O Boże! — zawołała — toć on i sam wie o tem! No jakże, jakże tak żyć bez ludzi! Cóż teraz będzie z tobą?

— Nie bądź dzieckiem, Soniu — wymówił z cicha. — Cóżem wobec nich zawinił! Po co pójdę? Co im powiem? Wszystko to tylko widmo... Oni sami gubią miljony ludzi i jeszcze poczytują to sobie za cnotę. To łotry i nędznicy, Soniu! Nie pójdę!... I cóż im powiem: żem zabił i nie śmiałem wziąć pieniędzy, żem je ukrył pod kamieniem? — dodał z gorzkim uśmiechem. — A toć oni sami mnie wyśmieją, powiedzą: głupi, że nie wziął. Tchórz i głupiec! Nic, nic nie zrozumieją Soniu, i nie są godni zrozumieć. Po co ja pójdę? Nie pójdę! Nie bądź dzieckiem Soniu..

— Zamęczysz się, zamęczysz się — powtarzała w rozpaczliwem błaganiu, wyciągając doń ręce.

— A może ja się jeszcze obmawiam — zauważył ponuro, jakby w zamyśleniu — może jestem jeszcze człowiekiem, a nie wszą, może zbyt śpiesznie potępiłem siebie.. Zmierzę się jeszcze. Dumny uśmiech wybijał się na jego twarzy.

— I taką męczarnię znosić! I to przez całe życie, przez całe życie!...

— Przywyknę — wymówił ponuro i z zadumą. — Słuchaj — zaczął po chwili — dość płaczu, przystąpmy do faktów: przyszedłem ci oznajmić, że mnie teraz szukają, łapią... — Ach! — zawołała Sonia z przestrachem. — No cóżeś tak krzyknęła! Sama chcesz, ażebym poszedł do ciężkich robót, a takeś się zlękła? Tylko ja im się nie dam. Podrażnię się jeszcze z nimi i nic mi nie zrobią. Nie mają oni faktycznych dowodów. Wczoraj groziło mi wielkie niebezpieczeństwo i sądziłem, żem już zginął; ale dziś sprawa się poprawiła. Wszystkie dowody mają dwa końce, ich oskarżenia ja mogę obrócić także na swoją korzyść, uważasz? i obrócę; o, bom się już teraz nauczył... Lecz do więzienia wsadzą mnie z pewnością. Gdyby nie jeszcze wypadek, to możeby mnie byli i dziś wsadzili, z pewnością, a nawet może i wsadzą jeszcze... Tylko to nic, Soniu: posiedzę i uwolnią... bo nie mają ani jednego rzeczywistego dowodu i nie będą mieli, daję ci słowo. A z tem co mają, nie można upiec człowieka. No, dosyć... To tylko tak dla twojej wiadomości... Z siostrą i z matką postaram się jakoś tak zrobić, ażeby ich nie przestraszać i rozwiać ich podejrzenia... Siostra teraz, zresztą, może już jest dość uposażona... a więc i matka... Otóż i wszystko. Bądź zresztą ostrożna. Czy odwiedzisz mnie w więzieniu, gdy mnie tam wpakują?

— Odwiedzę, odwiedzę! Siedzieli obok siebie, smutni i zgnębieni, jakby ich burza wyrzuciła na brzeg odludny. On spoglądał na Sonię i czuł jak wiele miał na sobie jej miłości, i rzecz dziwna, zrobiło mu się nagle ciężko i boleśnie, że go tak pokochano. Tak, było to uczucie dziwne i straszne! Idąc do Soni, on czuł, że ma w niej całą nadzieję i całe wyjście; sądził, że się pozbędzie choć części własnych męczarni i nagle teraz, gdy całe jej serce zwróciło się ku niemu, poczuł i poznał, że stał się nieskończenie nieszczęśliwszym, niż był poprzednio.

— Soniu — rzekł — lepiej już nie odwiedzaj mnie, gdy będę siedział w więzieniu.

Sonia nie odpowiedziała. Płakała.